

REPORTAŻ TEN PUBLIKUJEMY Z MYŚLĄ, ŻE NIE POZOSTANIE MARTWYM SŁOWEM. SPRAWA OSIEDLA W BISKUPINIE WYMAGA NATYCHMIASTOWEGO ROZWIAZANIA. CZEKAMY RÓWNIEŻ NA LISTY I WSZELKIE MATERIAŁY ZWIĄZANE Z HISTORIA BADAŃ I ODKRYC, CIĘKAWOSTKI I DOKUMENTY. REDAKCJA

Nowy Świat

TYGODNIOWY DODATEK „GŁOSU” * Poznań, 27 kwietnia 1958 * ROK VIII Nr 18

ANDRZEJ BAJKOWSKI

HISTORIA i ZŁOTO

Jest zimno. Przenikliwy wiatr od jeziora wdziera się pod jesionkę, marszczy wodę zalewającą półwysep. A spod wody widać czarne te starości paliki, wilgotne belki...

Woda zalała grube paczki starannie zaklejonych banderolami banknotów: funty szterlingi, dolary, franki, ruble, marki i pesety.

Woda ukryła pod swą powierzchnią historię i złoto.

— Jak je wydobyć? Znalazienie odpowiedzi na to pytanie jest celem wyprawy reportera. Zgrabiałymi z zimna palcami notuje fakty.

I.

Prehistoryczne osiedle obronne w Biskupinie odkrywa w 1933 roku nauczyciel pobliskiej szkoły p. Walenty Szwajcer. Pierwszą instytucją bliżej zainteresowaną sensacyjną wiadomością jest Muzeum Historyczne w Poznaniu. Na miejsce przybywa prof. Kozłowski w celu dokładnego zbadania wykopaliska, oczywiście wtedy jeszcze bardzo fragmentarycznego. W drodze z odległego o 8 km Żnina spotyka go pierwsza nieprzyjemność: właścicieli pola, przez które wędruje profesor, wytacza mu awanturę, skończoną nieomal pobiciem. Dalsza historia przynosi nie mniej nieprzyjemności. Sygnał Szwajcera wywołuje burzę wśród naukowców. Przeprowadzone w ciągu roku 1934 przez ekipę UAM odkrycia stają się rewelacją.

Archeolodzy stwierdzają: świetnie zachowane szczątki pochodzą sprzed 2500 lat z wczesnej epoki kamiennej (700–400 lat p.n.e.). Naczynia, narzędzia, przedmioty użytku domowego, ulice ułożone z pali drzewnych — każdy szczegół stanowi sensację. Zjeżdżają goście z całego kraju. Ludność miejscowa ustosunkowana jest jednak krytycznie i niedowierząco.

W świecie naukowym wre. Prasę, najważniejsze pisma euro-

pejskie i amerykańskie (np. „The Illustrated London News” 1936 zamieszczają reportaże i fotografie z terenu wykopalisk.

Trwają gorączkowe prace badawcze, powstają pierwsze plany rekonstrukcji.

Dziesiątki robotników zjeżdża do Biskupina. Zatrudnienie robotników opłacanych stosunkowo wysoko z dotacji państwowych powoduje niezadowolenie wśród miejscowych bogaczy: brakuje im rąk do pracy. Wytwarzają się pierwsze objawy atmosfery, która utrzymuje się aż po dzisiejszy dzień: „po co to komu?” — powtarzają mieszkańcy pobliskich okolic.

Jednak zainteresowanie wywołane odkryciem tej miary nie uciucha. W tym okresie restauratorzy przeżywają okres koniunktury.

Gościł Szwajcera, (bo w Biskupinie można do dziś zakwaterować się prywatnie tylko u niego) są też najznakomitsze piona: m. in. Zofia Kossak-Szczucka, Grzymała Siedlecki, Wojciech Zukrowski...

Odtworzenie planu osady pozwala na pierwsze rekonstrukcje: baszty wjazdowej od strony jeziora, dwóch budynków mieszkalnych, i części wałów obronnych. Dalsze prace przerywa wojna.

Niemcy wyznaczają okolicznej ludności haracz. Przez wszystkie niedziele i święta rolnicy zaspęniają wydarte ziemi fragmenty osiedla. Chłopi robią to niechętnie, ale bez specjalnych sprzeciwów: zapoczątkowana w 1936 r. atmosfera trwa. Część eksponatów zostaje zniszczona lub wywieziona.

2.

Wyzwolenie. Biskupiński fantasta prof. Rajewski wraca do pracy przy restauracji zdewastowanych wykopalisk. Pomoc licznych instytucji państwowych doprowadza do dalszych cennych odkryć. Powstaje oficjalna placówka: Kierownictwo Badań nad Początkami Państwa Polskiego. Do Bisku-

pina przybywa również odkrywca osady p. Szwajcer.

Lata 1940–1948 są okresem wzmożonych badań. Naukowcy stają wobec bynajmniej nienaukowych problemów: ile trudów kosztowało przekonanie miejscowych chłopów o potrzebie elektryfikacji pobliskich wsi, a tym samym terenu wykopalisk — p. Szwajcer może opowiadać godzinami.

Rok 1949. Początek historii, która w swym obecnym stadium zaczyna pachnieć kryminałem. Jeszcze w 1950 roku prof. Rajewski pozbawiony jakichkolwiek dotacji ze strony Min. Kultury organizuje w Biskupinie obozy letnie, studenci przy pomocy kilku (ściśle: dwóch) robotników prowadzą gros badań, są to jednak ostatnie, rozpaczliwe prace. Brak pieniędzy uniemożliwia działanie.

Nasz przyjaciel smutnym wzrokiem przebiega notatki.

— Nici, panie Rajewski, nici! A zapowiadało się tak sensacyjnie...

Może w Warszawie nikt nie pamięta o biskupińskim grodzie?

Wracamy na chwilę w czasie.

Rok 1947. Reżyser: Star, operator Stefanowski, scenariusz: Rajewski. Wytwórnia Filmów Dokumentalnych kręci film z Biskupina. Jedyną widomą oznaką wzmiankowanego faktu jest trzydziestocentymetrowy odcinek taśmy, umieszczony w muzeum biskupińskim, sam film przepadł bez wieści, podobnie jak nakręcona w 1950 r. „poprawka”, która nie ujrzała ekranu utknęła w prze- pastnych laboratoriach WFD.

Z materiałów reklamowych zachowały się do dziś fantastycznonaukowa powieść „Jakby dziś” St. Królikiewicza, płyta: nagrany przez redakcję „Anteny” wywiad radiowy z prof. Rajewskim, kilka innych ksiązek, przewodników, map. Wszystko pojedynczo egzemplarze, umiejscowione we wspomnianym muzeum.

Reporter zamyka notes, rozciera dłonie. Zimno! Z papierosem w zębach, stoi pochylony nad wodą, która zalała pogniłe belki drewnianych ulic prehistorycznej osady.

— Wygląda pan jak czapla czyhająca na rybki — mówi stróż, który pilnuje baraku — muzeum. A reporter pochyla się nad wodą i wypatruje ukrytego złota. Jeszcze daleko do znalezienia odpowiedzi.

— Szukajmy dalej — mruczy.



Poranna toaleta pelikanów

3.

Żnin jest miasteczkiem powiatowym. Określenie to zawiera w sobie chyba całość charakterystyki Żnina. Od XIII wieku na prawach miejskich, szczyt prosperity osiąga w latach trzydziestych XIX w. (Dla przykładu: w 1929 roku istniał tam Bank Oszczędnościowy oprocentowujący wkłady na 11 proc.) Resztki świetności grodu stara się po dziś dzień utrzymać cukrownia i „planowo deficytowa” fabryka gramofonów „Muza”. W wieku XI i XII Żnin był osadą żeńców pracujących dla zamku w Opolu, stąd nazwa miasta.

Na środku rynku stoi samotna baszta. Bliźniacza baszta, stanowiąca niegdyś drugie skrzydło XIII wiecznego ratusza, spłonęła w 1692 r. W chwili obecnej zabytek pusty:

toczą o niego walki PTTK, które chce urządzić tam muzeum oraz harcerze, którzy uznali basztę za świetny lokal na harcówkę.

Niedaleko kościoła reporter ogląda pałacyk pochodzący z XIII w. Swego czasu stanowił on własność arcybiskupa Jakuba Bogorii ze Skotnickich. Grywał tam w szachy z arcybiskupem sławny Janko z Czarnkowa.

Legenda dodaje, że pałacyk położony jest 8-kilometrowym korytarzem podwodno-podziemnym z... zamkiem w Wenecji, położonym akurat na drugim brzegu jeziora biskupińskiego. Zamek ów, dziś zrujnowany niemal doszczętnie, niegdyś był w posiadaniu Mikołaja z rodu Nałęczów znanego Krywawym Diabłem Weneckim, a to z racji swego zawodu (był on sędzią kaliskim).

Przed wojną badano autentyczność legendy. Korytarz nie znaleziono, ale legenda żyje do dziś. W Żninie urodzili się też bracia Śniadeccy i Klemens Janicki. Prócz dokumentów są więc w mieście ulice, szpital, szkoła, tablice pamiątkowe i Dom Kultury ich imienia.

Kroniki współczesności żnińskiej odnotowują poza tym fakty takie jak np. urodzenie syna przez 15-letnią uczennicę IX kl. w 1953 roku, a także sprawę obrazu Jacka Malczewskiego.

— Wisiał ów obraz zatytułowany „Przebudzenie” w Prezydium PRN — opowiadał reporterowi miejscowy nauczyciel — aż okazało się, że ponieważ przedstawia nagą kobietę dalej wisieć nie może. Zamieniono go więc czymś przedziej na dzieło miejscowego malarza pokojowego Łuczaka, a ponieważ chciano uniknąć komplikacji finansowych — oba obrazy, ten Malczewskiego i ten Łuczaka wyceniono po 2.000 zł. „Przebudzenie” zdolano uratować, znajduje się obecnie w Muzeum Ziemi Pomorskiej w Bydgoszczy...

Niestety nie przebudziły się władze grodu Żnina. Gdyby to nastąpiło...

Reporter nadstawia uszu.

— Mam! — krzyczy nagle.

— Mam sposób wydobywania złota.

— Jakiego złota?

— Zaraz — gorączkuje się reporter — zaraz wytłumaczę. Niech pan mówi dalej!

4.

Przystanek wodna tężni życiem. Co chwila nowi ludzie, nowe twarze. Przewodnicy nie mogą nadążyć z robotą: załatwianie, zakwaterowanie, zamówienie miejsca w autobusie kursującym do Biskupina, załatwienie to, załatwienie tamto.

Hotel miejski przepełniony, zajęte wszystkie miejsca w odstepowanym PTTK na okres letni hotelu robotniczym cukrowni. Schronisko turystyczne, wybudowane specjalnie dla wędrowników w Wenecji — jeszcze nieczynne. Kłopot sprawiają również liczni turyści zagraniczni, którzy przyjechali obejrzeć jedyne w Europie, obecnie orestaurowane prawie całkowicie osiedle obronne w Biskupinie.

Na wyremontowanym odcinku szosy Gąsawa — Biskupin ruch. Osobowe auta gości, cicharów dowożące prowiant do nadjeźdźców ośrodku turystyki wodnej. Zaś na 100-hektarowym jeziorze biskupińskim również ruch. Kajaki, motorówki, żaglówki...

W lokalu prezydium PRN w Żninie uroczystość — przyjęcie (Dokończenie na str. 3)

LESZEK PROROK

PISTOLET

Fragment opowiadania „Bajka warszawska”

P o pistolet schowany w łazience za wanną Janek nie przysłał nikogo; wstał sam po Walterka któregoś z tych letnich wieczorów, gdy miasto dyszy ciepłem murów i asfaltu, wchłoniętym za dnia. Zaproponował Emilce spacer.

Wyciągnęła skwapliwie ciężki przedmiot owinięty w gałgany. Janek śledził uważnie zwinne ruchy jej rąk. Nie mógł odmówić sobie przyjemności wydobywania wizytówki przedartej w nierówny zygzak.

Masz kontakt, Milka? — spytał spoglądając w wielkie oczy dziewczyny, ocienione niesfornym kłębem włosów.

Rozbawiona odrzuciła włosy do tyłu zniewalaającym ruchem, który tak lubił i wyszperała w torebce drugą półkę kantoniku.

Złożył je tak jak przykładają się wargi do warg. Zbyt uczynnym razem zabieg konspiracyjnym wydał się każdemu czynnemu niezmiennie ważnym dla obojga, choć trudnym do określenia. Emilce ściemniały brązowe tęczy, Zachnęła się, gdy Janek chciał wyrzucić niepotrzebne świstki.

— Zostaw! Schowam.

— A po co?

— A po to! Dla siebie. Właśnie tak.

Zasnął się krótko i oddał obie części biletu. Emilka wydobyła z kredensu pustą bombonierkę po przedwojennych czekoladkach. Włożyła pistolet do środka, wymości-

ła wolną przestrzeń papierem i przewiązała pakietek różową wstążką. Potem wyszli.

O tej porze tramwaje jechały z miasta obwieszone dookoła ludźmi. Przeciążone repery z trudem wytrzymywały ciężar, wozy chrzęściły niepokojąco. Zielonymi uliczkami Żoliborza spacerowały gesty młode parki, podobne do nich. Dziewczęta nosiły wzorzyste sukienki. Przyglądały się sobie nawzajem taksując różne przykłady taniutkiej mody wojennej, torebki przewieszane przez

ramię na długim pasku, zwane konduktorkami lub pantofelkami na drewniakach. Pod wiaduktem, na peronach dworca gdańskiego czarni banszucy uganiaли się za tobołkami szmuglerów, których przed chwilą wyrzucił pociąg z Legionowa.

Pod murami getta na Bonifraterskiej snuł się zielonkawy patrol lotewskich esmanów o twarzach tępych, obcych domom i ludziom. Za murem szumiało hałaśliwie nieznanne życie najsmutniejszego z podbitych miast Europy.

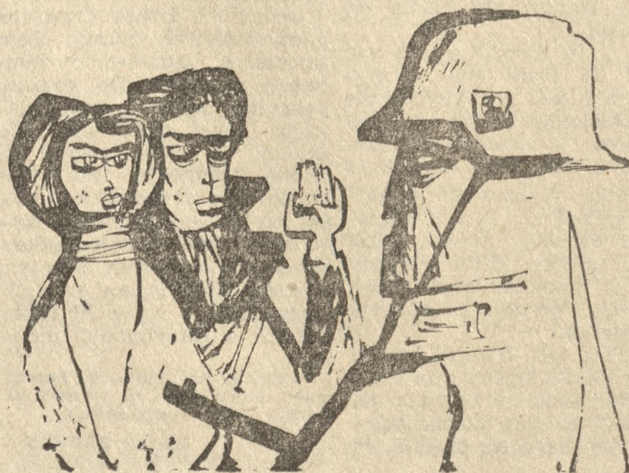
Nim dotarli pod mur Janek skreślił w lewo. Na Zakroczymskiej było pusto. Przygarnął silniej Emilke, po chwili objął w pól jej smukłą postać. Szli tak długi czas w milczeniu stosownym na tej opuszczonej, zaspanej ulicy. Ludzi było tu mało za to wiele napisów na murach i parkanach. Koślawe wapienne litery krzychały uragownie: Hitler kaput!

— Patrz! To ostatnia robotka — Janek złuźnił uścisk i wskazał długi foremny napis biegnący przez całą długość fasady. — Widzisz, tu „s” zdrapane, „liegt” zamiast „siegt”. Tak poprawia się ich wszystkie pocieszenia w mieście.

„Deutschland liegt an allen Fronten!” czytała Emilka krocząc wzdłuż zdrapanej kamienicy pełnej odprysków tynku.

Janek zapalił się i zaczął jej tłumaczyć strategiczną wymowę ostatniego komunikatu radiowego. Błyskawiczna ofensywa Rommła w Afryce północnej zatrzymała się pod El Alamein, dosłownie u wrót Egiptu.

Niespostrzeżenie weszli na ulicę Fręta, gdzie ogarnęła ich charakterystyczna atmosfera Starówki: skoncentrowany za-



Rys. Lech Sułkowski

„ŚLĄSK”

nad Sekwaną

„Śląsk” święci obecnie sukcesy w Paryżu. Teatr „Alhambra” (kierowany przez słynnego Maurice Chevaliera) huczy gorącymi oklaskami, publiczność tłumnie „wali” na wszystkie przedstawienia a recenzenci i krytycy teatralni nie skąpią pochwał. Paryż zachwycił się przede wszystkim wysokim poziomem chóru oraz znakomitymi kostiumami.

„France - Soir” pisze: „Chór — znakomity zarówno przez swoją jednolitość jak i czystość głosów, dominuje prawie całkowicie w programie”.

„Le Monde” stwierdza, iż „chórzyści, kierowani bardzo subtelnie, umieją naprawdę śpiewać”, a „l’Humanité” dodaje: „Niech nikt nie oczekuje, że odnajdzie tu trochę tylko zmienioną wersję „Mazowsza”. Tańce i pieśni „Śląska” są zupełnie odmienne, a także bardziej różnorodne...”

Skądże więc ta zatroskana minka przy takiej prasie? (Patrz zdjęcie: członkini zespołu — Teresa Nowak w stroju wołoskim, na chwilę przed występem.



Sprawy literackie w NRF

MUSIL, ROTH, KAFKA i T. MANN

Na literackim niebie NRF błyszczy cztery gwiazdy pierwszej wielkości. Ich blask przyciemnia wszystkie inne i oświetla drogę pisarzy średniego i młodego pokolenia. Te konstelacje tworzą nazwiska: Musil, Roth, Kafka i Tomasz Mann. Żaden z nich już nie żyje, ale każdy jest obecny. O nich mówi się, pisze, dyskutuje, ich wpływ jest widoczny i przedmiotem wielu rozważań.

Musil i Roth byli rdzenni Austriakami, Kafka urodził się i tworzył w Pradze, a więc „pod berłem” Austrii, Tomasz Mann po roku 1933 przebywał na emigracji i tam zmarł — rany nagle chorobą. Tylko Kafka, który zmarł w roku 1924, nie dożył czasów Hitlera; pozostałych faszyzm niemiecki skazał na tułactwo: Musil uległ w 1942 r. skrajnej nędzy w Szwajcarii, Roth zamknął oczy w paryskim szpitalu dla bezdomnych (1939), a Mann, którego oszczędził niedostatek, leży pochowany z dala od swojego kraju. Za Hitlera wszyscy czterej byli potępiani, dziś wrócili do Niemiec pełni sławy i chwały.

Robert Musil.. Przed dziesięcioma laty nikt o nim nie wiedział, dzisiaj mówi o nim cała Europa. Ten dystyngowany pan, syn profesora uniwersytetu, świetny prozaik, nie dbający o rozgłos pisarz, znikł ze świata całkiem niezauważony. Sława, i to zawrotna, przyszła dopiero po śmierci. Jego powieść „Człowiek bez właściwości”, licząca ponad 1500 stron, uznano za arcydzieło. Musila przetłumaczono na angielski, francuski i szwedzki, w przyszłości wydanie również przekład polski. Nazwisko autora wymawia się jednym tchem z nazwiskiem Prousta, Joyce’a i innych najwybitniejszych prozaików naszego stulecia.

„Człowiek bez właściwości” — to powieść o upadku monarchii austro-węgierskiej. Akcja toczy się tutaj w roku 1914, w środowisku arystokracji, mieszczaństwa i inteligencji. Austria, na której potęgę pracowały stulecia, rozpływa się jak domek z kart. Ową pamiętną rolę dla pisarza wcielił symbol upadku kultury mieszczańskiej, tradycyjnej myśli i obyczajów, zagłady starego świata. Dzieło Musila ma zupełnie nową formę, charakter powieści esejistycznej. Rozważania postaci, ich rozmowy i dyskusje przybierają postać esejów, które wypełniają jeden lub więcej rozdziałów. Utwór jest intelektualną rewolucją społeczną, moralną i duchową problematyką nowoczesności. Musil to epik i zarazem typ pisarza analitycznego, skłonnego do filozoficznych dociekań i subtelnych wywodów, popartych ogromną erudycją.

Jeśli Musil odprowadzał Austrię do grobu z uśmiechem złośliwej ironii, to Roth żegnał

Zachodnie Niemcy jako kontynent literacki są dla nas lądem nieznanym. Nieświadomość polega zresztą na wzajemności. My o nich wiemy niewiele, oni o nas jeszcze mniej. A szkoda, bo pisarzom zawsze łatwiej nawiazać rozmowę niż politykom.

Niniejsza relacja będzie informacją wstępną i ograniczy się do jednego pytania: Jakież to duchy opiekuńcze patronują współczesnemu piśmiennictwu niemieckiemu? Innymi słowy, jacy pisarze niemieccy naszego stulecia wywierają żywy wpływ na rozwój literatury w Niemczech. Jest to problem pierwszej wagi, albowiem prowadzi nas do duchowego źródła współczesnej myśli literackiej. Odpowiedź na to pytanie układam z wrażeń, które wyniosłem z rozmów z pisarzami NRF i z lektury czasopism i krytycznych prac ukazujących się w tym kraju.

Wielką z melancholijnym żalem. Józef Roth urodził się (1894) w galicyjskiej miejscowości, studiował i tworzył w Wiedniu, który opuścił w 1938 r. W swoich powieściach, z których największą poczytność mają dotychczas „Marsz Radeckiego”, „Hlob” i „Legenda o świętym pijaku”, opisał tragiczną rozterkę współczesnego człowieka, zagubionego w świecie konfliktów, niepokoju i moralnego chaosu naszej epoki. Forma jego prozy jest o wiele bardziej tradycyjna od eksperymentalnej formy Musila. Roth wzoruje się na powieści Flauberta.

Największym bożyszczem pisarzy zachodnich Niemiec jest jednak Franz Kafka. Nazwisko tego pisarza, który w abstrakcyjnej postaci oddał grozę ludzkiego istnienia i rozpaczliwą walkę człowieka z otaczającym go złem, nie schodzi z kart prasy literackiej. Kafce poświęcono dziesiątki rozpraw i studiów, o niego toczą się ustawiczne boje i dyskusje, nie mówiąc już o dziesiątkach jego naśladowców. Kto wie, czy w szczególności tych pisarzy, którzy odczuwają głęboki wstyd za zbrodnie faszyzmu i szczerą nienawiść do przemocy, nie pociąga w Kafce jego szlachetna pasja moralna i chęć ustrzeżenia człowieka przed klamstwem i niewolą. Nie zapominajmy też, że Kafka był jednym z niewielu pisarzy, którzy przewidywali przorocko koszmarną totalistyczną groźbę. Jego groźne pismo roztoczyło w znanej polskiemu czytelnikowi noweli „Kolonia karna”.

Tomasz Mann jest zbyt znany polskiej publiczności, by wspominać tutaj o jego twórczości. Ba, jest bardziej znany polskiemu czytelnikowi niż niemieckiemu. W okresie hitler-

rowskim jego dzieła zostały spalone, a zaraz po wojnie powiedział on tak wiele gorzkich prawd swojemu narodowi, że nie każdy chciał lub mógł go czytać. Młode pokolenie dopiero teraz odkrywa największego pisarza Niemiec. Autorzy niemieccy uczą się od niego prawdy o Niemczech, podziwiają jego odwagę i moralną postawę, poświęcając coraz więcej uwagi jego prozie, w której problem niemiecki tak dużą rolę odgrywa.

Popularność wymienionych prozaików nie jest chyba przypadkiem. Wszyscy czterej są bowiem w istocie swojej moralistami, wszystkich zajmuje — niezależnie od różnic treści i formy, która ich dzieli — problem zła, które toczy naszą epokę, oraz możliwość zapobieżenia katastrofie grożącej ludzkości. Prymat tych pisarzy w ruchu literackim zachodnich Niemiec należy uznać za objaw dobitny, jeśli prawdą jest to, co powiedział Heine: „Historia literatury jest wielką kostnicą, gdzie każdy szuka zmarłych, których lubi lub z którymi jest spokrewniony.”

Roman KARST

(Ciąg dalszy ze str. 1)

żrenic, jakby każde chciało utrwalić w pamięci widok drugiego i przekazać pożegnanie na wypadek niedoli, pokrzepienie i miłość. W krótkiej chwili Emilka Markowska pojęła o ileż mocniejsza jest więź tego rozpaczliwego spojrzenia, niż wszystko, co łączy z rodzicami, bratem, domem. Dojrzała w mgnieniu kurczowego lęku jak dojrzewały nagle, wbrew powolności natury, tysiące dziewcząt z jej pokolenia.

Pakieci nad głową drżał ledwo dostrzegalnie. Czyżby zdążył zmęczyć uniesioną dłoń?

Zandarm obmacał kieszenie spodni, wyprostował się sunąc rękami wzdłuż bioder Janka i wyżej, wyżej. Spazm chwycił Emilkę za gardło. Chciała się rzucić naprzód, porwać bombonierkę i uciec, ale Niemiec w tym momencie odstał. Drugi oddał wynieciony Ausweis i machnął ręką. — Passieren!

Dopiero teraz dostrzegł, że ulica opustoszała, nawet gromadki dzieci furknęły z jezdni jak stadko spłoszonych gołębi. Pobiegł przed siebie przytuleni i osłabli, czując jak przenika ich jedno drżenie. Emilka kurczowo ścisnęła dłoń towarzysza; nie mogła nic innego wykrztusić poza zdławionym imieniem: — Janku, ach Janku...

— Nic, nic, malutka starała się ją uspokoić — Mielimy fenomenalne szczęście.

Zamyślił się i powiedział zmienionym głosem pełnym zdziwienia.

Życia kulturalnego Polaków w CSR

W Czechosłowacji mieszka obecnie ok. 80 tysięcy Polaków. Największe skupiska ludności polskiej znajdują się na Śląsku czechosłowackim, w okolicach Czeskiego Cieszyńska, Trzynie i Karwiny. Na ogół powodzi im się dobrze. Mają ładne, własne domki jednorodzinne, wielu posiada samochody. Dzieci polskie uczęszczają do polskich szkół, znajdujących się w każdej większej miejscowości.

Kolonia polska ma tam swoje zespoły artystyczne, czasopisma („Głos Ludowy”, miesięcznik literacko-społeczny „Zwrot”). W Czeskim Cieszynie działa również polski teatr zawodowy.

Większość zespołów artystycznych zrzeszona jest w Polskim Związku Kulturalno-Oświatowym, mającym swoją główną siedzibę w Czeskim Cieszynie. Związek ten we wszystkich miejscowościach zamieszkałych przez Polaków, ma swoje koła. Składają się one zazwyczaj z zespołów śpiewaczych, tanecznych, muzycznych i teatralnych. Poza tym PZKO organizuje różnego rodzaju kursy, konkursy itp. Jest jednak kilka zespołów artystycznych, które nie należą do PZKO. Pracują one pod egidą rad zakładowych przy większych zakładach pracy. Jednym z nich jest „Hutnik” z Trzynie, znany poznańskim publiczności z ubiegłego rocznego Festiwalu Chórów Polskich.

Wszystkie te zespoły bardzo często urządzają występy, na które przychodzi zawsze tłumnie ludność polska. Niestety, zespoły odczuwają brak świeżego materiału repertuarowego. Brak jest szczególnie nut z nowymi polskimi pieśniami i utworami muzycznymi. Myślę, że odpowiednio czynnik w kraju powinny przyjąć tutaj z pomocą. Przecież dziel nas od nich tylko przysłowiowa „miedza”.

Sekcja Literacko-Artystyczna PZKO wydaje dzieła miejscowych poetów i pisarzy. Należą do nich m. in.: znany na tym terenie redaktor „Zwrotu” Paweł Kubisz — autor poetyckiego dramatu pt. „Opowieść wydziedziczonych”, Henryk Jaszczyk, Gustaw Przeczek. W Sekcji pracują także plastycy: Franciszek Świder, Rudolf Zebrok, Gustaw Nowak, Bronisław Liberta, Bronisław Filra i inni. Miejscowi twórcy narzekają jednak na brak zainteresowania ich pracą ze strony kraju. Rozmawiałem na ten temat z red. Kubiszem. Zarówno on, jak i inni pisarze bardzo pragną wydawać swoje książki w Polsce. Może ktośś z naszych wydawnictw zainteresuje się ich utworami?

Polacy mieszkający w Czechosłowacji chętnieby częściej oglądać występy krajowych zespołów artystycznych i teatrów. Dotychczas bowiem zaglądają one tam bardzo rzadko.

Mirosław IDZIOREK

— Już drugi raz w ostatnim czasie mam takie niepojęte szczęście.

To samo powtórzył grubaskowi porucznikowi, który czekał na nich u zbiegu Świętojańskiej i staromiejskiego rynku. Było tu spokojnie, tylko, gołębie wypełniały senny plac gruchaniem.

Porucznik nieco ceremonialny w prezentacji, która zresztą nie ujawniała jego nazwiska, ogarnął oboje życzliwym spojrzeniem. Poklepał Janka po ramieniu.

— Ano mówi się, że sympatia pięknej kobiety chroni od niebezpieczeństw.

Bawił się rumieńcami Emilki i zmieszaniem dziewczyny, która jeszcze nie mogła się uspokoić.

— A tu sympatia jest jak mur! Ja mam oko — wykrzyknął, zaś pochylwszy się do ramienia Janka dorzucił szeptem — śliczne dziecko! Gdzie Karol, taką wynalazł?

Krótko rozmawiali o zajęciach sprzed chwili i o mieszkaniu ośpalego Stefka, gdzie mimo upływu kilku miesięcy nikt z Niemców nie zajął. Wreszcie porucznik spojrzał na zegarek.

— Tak, tak. Uważaj bratku na siebie. Do trzech razy sztuka. No, teraz dawaj kopyto, już czas. Zabiorę śliczną bombonierkę. Będę się chwalił, że

NIEBO jest NIEBIESKIE

Premiery, to ciągle jeszcze rzadkie rodzynki w telewizyjnym cieście, które ostatnio film polski przyprowadził o nie lada zakalec. Wydał mianowicie zakaz wyświetlania w telewizji filmów, które nie odbyły co najmniej rocznej podróży po kinowych ekranach. Skutek taki, że większość telewizyjnych ogląda po raz drugi filmy, które często nie są w ogóle wartego obejrzenia. Sprawa jest tym bardziej przykra, że filmy stanowią niemal osiemdziesiąt procent programu i są — powiedzmy sobie szczerze — najciekawszymi pozycjami programu, toteż jego atrakcyjność znacznie ostatnio zmalała. Przyczynił się do tego również brak ciekawych premier. Po komedii „Świt, dzień i noc” — nie wymieniam tu drobnych adaptacji — nastąpił dla widzów „wielki post”.

Tym łakomiej oczekiwaliśmy na od dawna zapowiadzaną prapremierę „Niebo jest niebieskie” Jana Zakrzewskiego, w reżyserii Jerzego Hoffmanna.

Jan Zakrzewski, tłumacz wielu pozycji od Steinbecka począwszy, a na Agacie Christie skończywszy, zajmuje się również adaptacjami telewizyjnymi, które utorowały mu drogę do twórczości oryginalnej. „Niebo jest niebieskie” jest jego telewizyjnym debiutem i jako debiut z góry zasługuje na zastosowanie w jego ocenie ulgowej taryfy.

Jest to, że tak określe „średniometrzowa” sztuka o zagęszczonej społeczno-politycznej problematyce. Użyłam określenia „zagęszczonej”, gdyż stosunkowo krótki tekst mieści tyle zagadnień, że wystarczyłoby ich na długometrażowy film, opracowany w dwóch seriach. Akcja rozgrywa się w Ameryce Południowej — zresztą to nie jest ważne gdzie — ona dzieje się wszędzie i nigdzie, jest ponadczasowa i pozaterytorialna — ujęta w sposób metaforyczny.

Oto w małej oberży zastajemy jej właściciela — (Janusz Mazanek) i — obłąkanego — Lorenza (Tadeusz Sabała). Lorenzo wyszedł niedawno z więzienia, zamknięto go za spisek przeciwko władzy. Wieżenne tortury odebrały mu rozum. Lorenzo tęskni do symbolu swego szczęścia i wolności, do błękitnego nieba i do Marii. „Tam gdzie było niebo — przyszła szarość ziemi”; — to słowa Lorenza.

„Znowu będzie niebieskie; jak zabije dyktatora, dla wszystkich stanie się niebieskie” — mówi podróżny, nowy „bohater”, który chce zabić nowego dyktatora.

Oto dyktator (Ignacy Machowski) jawia się jak na zawołanie w oberży, ale nie podróżny, zabija go Lorenzo. Nie ma już dyktatora... Tak, ale wszyscy wiedzą, że będzie inny dyktator, że wszystko zacznie się od początku.

Całą tę misteryjną symbolikę konfliktu między władzą a wolnością oparł na małym prze-

kreju społecznym, na pięciu postaciach swej sztuki. Problem stary, jak świat i jak... literatura. Długo by tu można snuć linię literackich paratek na owym drzewie genealogicznym, które korzeniami sięga biblijnych przypowieści. Najmłodszymi (teatralnymi) gałązkami są „Angelica”, „Wizyta” Dürrenmatta, a ostatecznym gorzkim owocem pesymizmu wszystkie teatralne „Becketty”.

Tak, „Niebieskie niebo” jest rozpięte nad symbolicznymi postaciami, a te z kolei dźwięczą na sobie — jak na postaciach scenicznych przystało — cały ciężar dialogów. W sumie mamy misterną i ciekawą w pomysłach piramidę, w której (mówię tu o tekście) — brak jednak ruchu, działania, akcji.

Jedynym momentem dramatycznym za słabo zresztą przez autora wyciągniętym jest scena poprzedzająca zabicie dyktatora, a przecież tę samą problematykę można w dziele bądź co bądź dramatycznym wyrazić nie tylko za pomocą dialogu, którego ciężar gatunkowy nie rekompensuje zresztą pozostałych braków.

Podobno Antoni Maliszewski, który wraz z autorem przyjechał na poznańską premierę, obdarzył reżysera — Jerzego Hoffmanna — niemałym komplementem; powiedział mianowicie „Zakrzewski miał szczęście, że dostał się w pana ręce”. Dopiero po przeczytaniu tekstu można ocenić cały wkład pracy reżysera, który po pierwsze ciekawie i pomysłowo podretuszował postacie, trafnie zinterpretował dialogi, a przede wszystkim dokomponował cały sytuacyjny dramatyzm.

Jedno można by tylko reżyserowi zarzucić, że od początku zbyt mocno napiął ów dramatyzm, że całą sztukę wciągnął na pewne koturny patosu.

Więcej umowności wyszłoby sztuce na pewno na dobre.

Podobnie zresztą oprawa scenograficzna Zbigniewa Bednarowicza — świetny efekt obracającego się wiatraczka — była zbyt realistyczna, za mało podkreślała to, że akcja dzieje się wszędzie i nigdzie. Pozostałe role wypadły dobrze, a przede wszystkim Aleksandra Konciewicz w tak trudnej roli niewidomej utrzymała się przez cały spektakl na bardzo wysokim poziomie gry aktorskiej. Kamera ujmowała jak zwykle nienagannie, filmowo grupowane postacie, zachowując przy tym pełną swobodę sytuacyjną i tak najjaśniejszą linię interpretacyjną całości — a to w „Niebie” jest sprawą zasadniczą. Jest to bowiem sztuka w której problematyka stanowi o jej głównej wartości.

E. ELBANOWSKA

Nauka walczy z wilgotnym klimatem

36% globu jest pokryte tropikalnymi strefami wilgotnymi. Strefy te znajdują się w okolicach Amazonki, Wysp Karaibskich i południowo-wschodniej części Azji. Przekształcenie tych nie wykorzystanych obszarów w tereny uprawne przyniosłoby niezwykle bogactwa rolnicze. Eksperymenty prowadzone przez inżynierów-rolników z Rio de Janeiro wykazały, że 1 hektar ziemi w okolicach Amazonki może produkować dwie tony ryżu. Tymczasem ludność z tej strefy musi importować ryż na codzienny użytek...

Wyjaśnienie

Wyjaśniamy, że skróty w artykule dr. M. Rode wydrukowanym w „Nowym Świecie” (2. 3. br.) pt. „Nauka nie znośi próżni” zostały dokonane przez redakcję, a nie przez autora artykułu.

Wyjaśnienie zamieszczamy na życzenie autora. Redakcja

PISTOLET

— Ano mówi się, że sympatia pięknej kobiety chroni od niebezpieczeństw.

Bawił się rumieńcami Emilki i zmieszaniem dziewczyny, która jeszcze nie mogła się uspokoić.

— A tu sympatia jest jak mur! Ja mam oko — wykrzyknął, zaś pochylwszy się do ramienia Janka dorzucił szeptem — śliczne dziecko! Gdzie Karol, taką wynalazł?

Krótko rozmawiali o zajęciach sprzed chwili i o mieszkaniu ośpalego Stefka, gdzie mimo upływu kilku miesięcy nikt z Niemców nie zajął. Wreszcie porucznik spojrzał na zegarek.

— Tak, tak. Uważaj bratku na siebie. Do trzech razy sztuka. No, teraz dawaj kopyto, już czas. Zabiorę śliczną bombonierkę. Będę się chwalił, że

Cztery dni optymizmu

Przez dni cztery trwała — jedna w swoim rodzaju — wędrowna ludzka, celem której było zdobycie kart wejścia na IV Ogólnopolski Przegląd Teatrów Satyrycznych w Gliwicach. A lud był różnorodny — młody i stary. I brodaty, („egzystencjaliści”), jak też ubrojeni w ten rodzaj szacownych bród, jakie stanowią nieodzowny atrybut towarzyszący kilku tytułom naukowym właściciela i odpowiedniej godności piastownej racji przynależności do „ciała” profesorskiego w którejś z wyższych uczelni.

Wędrowną tą, mimo swej żywiołowości, w niczym nie przypominała owego jarmarku sensacji, w Sopocie, którego skutki i „sprężyny” uwiecznione zostały w protokołach milicyjnych. W Gliwicach również widownia zdała egzamin z wysokiego poziomu.

A poziom przedstawień? Na jego — ogólnie biorąc — wysoką rangę złożyły się: kultura tekstów zarówno mówionych jak i piosenkarskich (nie zawsze uwidoczniająca się w zawodowych teatrach satyrycznych), takt i umiar w połączeniu z celnością i bojowością satyry, wszechstronność i osobisty wdzięk wykonawców i — nader często — dobra muzyka oraz ciekawe efekty plastyczno-światłowe.

Swego czasu odzywały się głosy stwierdzające, że STS-y są zjawiskiem przejściowym, pewnego rodzaju „kaprysem mody”, że powstanie ich nie wynika z potrzeby artystycznego „wypowiedzenia się” młodzieży studenckiej i że wobec tego ten rodzaj teatru, jeżeli zasługuje na uwagę, to wyłącznie doraźnie, dla celów rejestracyjno-kronikarskich. Gliwickie dowiodły, że STS-y nabrały mocnych rumieńców, czy też — używając gwary akademickiej — „zakotwiczyły się” na dobre.

Przez te cztery dni recytowano, inscenizowano skecze, śpiewano i muzykowano. Słuchaliśmy świetnej prozy poetyckiej i wierszy w wykonaniu samych ich twórców. Poezja — niekiedy buntownicza, oskarżycielska — lecz zawsze szlachetna w swej tendencji i formie. Satyra stanowiła conditio sine qua non programu, ale był i liryczny smutek i wysokiej klasy kunszt piosenkarski, zadziwiająca szybkość reakcji autorów tekstów na wydarzenia w świecie. Wszystko miłe, bezpośrednie, młode w nastroju; a przy tym — nie traciło niczym ze studenckiej knajpki, z „rozróby”.

Być może, że ten i ów, najmłodszy już widz, może pod wpływem Kazimierza Kruskiego — literata, pomówi „estesowców” o zapożyczenie środków odurzających publiczność, z arsenału „Qui pro quo”, czy „Morskiego Oka”. Nie wierzcie temu!

Z wyjątkiem „Mońka Przeciorko”, pięknie śpiewanej przez Barbarę Rylską (warszawski STS), rzewnej ballady — „szmoncesu”, o autorstwo którego posądzam Tuwima lub Słonimskiego, wszystko inne narodziło się z myśli twórczej młodych, jak też przez młodych przetworzone zostało sceniczenie. Nawet — pewne ślady „wulgarności” w sprawach „On i Ona”. Kto wie, czy owe „ślady” nie stanowią swoistej pomysłowej (i przemysłowej) formy protestu przeciwko naszemu rodzimeму Tartuffe? Jest niezaprzeczanym faktem, uwidaczniającym się w Gliwicach, że STS-y nie chodzą utartymi, wydeptanymi już przez innych, ścieżkami. Chwała im za to!

Nie chciałbym zastanawiać się nad przyczynami, dla których na przeglądzie gliwickim zabrakło gdańskiego „Bim-Boma” i szczyńskiego „Skrzata”. Na ten temat krążyły najrozmaitsze, fantastyczne niekiedy wersje. Jury wydało swój werdykt — tak ujęty, że wszyscy, których wysiłek twórczy złożył się na przegląd gliwicki, mogą sobie spokojnie uściślać ręce i stwierdzić o sobie, iż „każda z nas jest lady i każdy z nas — gentlemanem”. Łódzki „Pstrąg” uzyskał nagrodę Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego za najdojrzalszy artystycznie spektakl („Kraj na ziemi”).

oraz nagrodę redakcji „Szpilek” — za aktualność satyry i duży ładunek humoru.

Warszawski STS „zagarnął” nagrodę Min. Kultury i Sztuki, za ostrą i odważną satyrę polityczną (!) Zespół ten wystąpił z programem pt. „Szopa betlejemska”, które to przedstawienie należało bodaj do najlepszych z całego przeglądu.

Lalkarom gdańskim „Co to?” przypadły nagrody Rady Naczelnej Zrzeszenia Studentów Polskich oraz Prez. Stolecznej Rady Narodowej Wrocławski „Kalambur”, liczący sobie zaledwie 3 miesiące życia, za pomysłową inscenizację i piękno kostiumów zdobył nagrodę katowickiej WRN.

O „Złotodziobie” (program pt. „Trzy łokcie optymizmu”) rozmyślnie wspominam oddzielnie, jako że nie mam wątpliwości, iż teatr ten najmilszy jest sercu Czytelników „Nowego Świata”. Poznańscy

„estesowcy” uzyskali najwyższą ocenę za stronę muzyczną spektaklu oraz za kulturę piosenek. (nagrada Rektora Politechniki Śląskiej). W „Złotodziobie” śpiewała m. in. świetnie zapowiadająca się piosenkarka Nina Dobrowolska. Piękne i wstrząsające jest „Requiem” Mariana Grześczaka. Lepszego jazzu niż poznański trudno szukać pomiędzy zespołami studenckimi.

Te cztery dni „tête-à-tête” wobec bardzo wymagającej publiczności — to dobry egzamin dla naszych studenckich teatrzyków. Pozwolił im nabrać wiary we własne siły, a zarazem przekonał niektórych czarnowidzów, że ze sceną studencką nie jest u nas źle. Przeciwnie. Jest zupełnie dobrze!

GUSTAW THÉE



Zakłady Philipsa wyprodukowały t. zw. dozometr do wykrywania promieni radiowych. Aparat ten, wielkości wiecznego pióra, pracuje bez dodatkowego ładunku elektrycznego.

FOT. - CAF

Historia i złoto

(Dokonczenie ze str. 1)
chali z Bydgoszczy delegacji „Totalizatora” i PTTK, fundatorów inwestycji. Jest kilku z granicznych dziennikarzy, kilku naukowców.

Duet Żnin — Biskupin tętni życiem...

Reporter ma wypieki na twarzy.

— Ale przecież to jest fantazja, tego wcale nie ma!

— Nie, nie ma — potwierdza rozmówca.

— Ale... czy to wszystko jest... możliwe? — pyta reporter.

— Tak. Możliwe. Koszty włożone w uratowanie zalewanego wodą Biskupina i stworzenie ośrodków wodnych w Żninie i Biskupinie, to tylko połączenie atrakcji naukowej i turystycznej może ściągnąć tu turystów — w ciągu trzech czterech lat zwróci się z nadwyżką.

Już ostatni raz reporter wyciąga ołówki i notatnik. „Sprawa Biskupina pachnie skandalem” — pisze Kto od powiedzialny jest za prawdziwą kompletną ruinę wykopalski?

W obecnej sytuacji żaden naukowiec nie poedzie na pustkowie: z pustą kieszenia, po co?

Entuzjasta Biskupina prof. Rajewski przedstawił na W. szaw. Nawet on. Dożyła go skandaliczna sprawa majątku który ongiś dawał dochody na pokrycie kosztów badań. W 1950 roku nowy podział terytorialny województwa powiat żniński oddał pod opiekę Bydgoszczy, majątek ongiś biskupski, pracuje na potrzeby UAM w Poznaniu.

Brak pieniędzy, brak inicjatywy — rzeczy mocno nawzajem związane. Pozostali tylko ludzie. Tym ludziom należy pomóc. Musi być wydobyte złoto ukryte pod wodą, która zalała Biskupin, jeden z najwspanialszych dowodów kultury polskości. Zbliża się Milenium — najlepsza chyba okazja, by sprawę Biskupina nareszcie ruszyć z miejsca.

Andrzej BAJKOWSKI

Dziękuję niniejszym, tym wszystkim, którzy podczas mo-

jego pobytu w Żninie i Biskupinie pomogli mi w zebraniu materiału, a w szczególności nauczycielowi PLO p. Januszowi Księskiemu i Jego Ko-

Autor

OSTATNIA BITWA na ziemi włoskiej

Przed godziną szóstą rano jedna z kompanii piechoty wkracza do miasta. Ulice puste jak wymioty, na jezdniach porzucone skrzynki z amunicją, karabiny i pistolety. Pierwszy większy opór kompania napotyka w koszarach milicji faszystowskiej, gdzie zamknął się jeden z plutonów niemieckich. A potem znowu spokój.

W środku miasta na rynku gromadzi się już rada miejska z burmistrzem na czele. Równocześnie z balkonu ratusza spływa białoczerwona, polska flaga.

Tymczasem do miasta wkraczają dalsze nasze oddziały. Miasto kipi entuzjazmem, na jezdniach — wiwatujące tłumy. Samochody wojskowe, z trudem mogą przecisnąć się przez ciżbę ludzką. Obsypują je kwiatami. Żołnierze chcą się rewanżować papierosami, ale tłum odrzuca ich ręce i na wojaków leca biedne, nędzne papierosy włoskie. „Evviva i liberatori!” „Evviva l'esercito polacco!”

Zjawiają się włoscy partyzanci. Strzelają w powietrze na znak triumfu, wzniesają niesamowity pochód wśród wron i kawek, krzającymi gestami nad domami.

Fotografowie rozmaitych szarż i narodowości kręcą całe kilometry taśmy. Panienki obcałowują gwałtownie żołnierzy.

Sztandar Polski powiewa dumnie na „Torre degli Asinelli”, najwyższej wieży Bolonii. Korespondent wojenny BBC mr Reynolds nagrywa transmisję ze zdobycia Bolonii. Nie wie wtedy, że jego audycji nie puszczą londyńska dyrekcja na mikrofon. „Za dużo o Polakach” — powiedzą w Londynie.

W dwa dni później dowódca II Korpusu Polskiego w imieniu wszystkich wojsk 8 Armii przejął władzę nad miastem. Żołnierze batalionu, którzy pierwsi wkroczyli do miasta, nosili odtąd na pamiątkę na beretach znaczki — herb Bolonii z napisem „Libertas” (Wolność). Dowódca 8 Armii brytyjskiej gen. Mac Creery w rozkazie Korpusu powiedział między innymi: „...walka była gwałtowna i zacięła. Mieliście jako przeciwników wyborowe wojska nieprzyjaciela. Trzem najlepszym dywizjom niemieckim, zadając ciężkie straty w ludziach i sprzęcie. Nieprzyjaciel został zepchnięty poza rzekę Pad, a wy odegraliście bardzo ważną rolę w tym zwycięstwie...”

Jerzy ANTONIEWICZ

Nowości z kraju i ze świata

KIESZONKOWY RADIO TELEFON, udoskonalony niedawno przez radzieckiego uczonego Leonida Kupranowicza rozwiązuje sprawę tak bardzo dającego się we znaki przeciążenia linii telefonicznych. Za pomocą takiego aparatu można w każdej chwili rozmawiać z każdym abonentem wszystkich central, znajdujących się w zasięgu 100 km.

CO ROBIĆ, ABY TYTÓN NIE PLESNIAŁ? Naświetlać go promieniami Gama. Uczeń zaczął już stosować takie naświetlanie gotowych wyrobów tytoniowych promieniami, których źródłem jest radioaktywny kobalt albo zużyte elementy atomowych reaktorów. Promienie te nie szkodzą zupełnie aromatowi tytoniu.

„SAVELITE” to przyrząd znajdujący coraz częściej zastosowanie w biurach, warsztatach, bibliotekach itd. Jest to fotokomórka połączona z urządzeniem alarmowym. Umieszcza się ją w pobliżu okna i nastawia na siłę światła dziennego, wystarczającą oczom ludzkim do pracy. Gdy tylko się ściemni — przyrząd natychmiast reaguje, ostrzegając o niedostatecznej sile światła sygnałem świetlnym i głosowym. Przyrząd ten można także wykorzystać do automatycznego włączania i wyłączania światła elektrycznego.

W TAJDZE SYBERYJSKIEJ, między rzekami Angarą i Ilimem, przystąpiono do budowy jednej z największych w ZSRR kopalni rud żelaza w kraterze wygasłego wulkanu. Złoże to zawiera setki milionów ton bogatej rudy, której warstwy sięgają głębokości 600 metrów i dochodzą do powierzchni. Umożliwia to zastosowanie metody odkrywkowej.

Czy na planetach, otaczających gwiazdy Drogi Mlecznej istnieją istoty rozumne? „Być może” — odpowiada amerykański astronom, wysuwając śmiałą koncepcję powstawania tzw. gwiazd super-nowych.

Astronomiczno - romantyczne marzenia

Gwiazdy tzw. „super-nowe” znane są astronomom. Rozbłyskują nagle na firmamencie, przytłaczają swym blaskiem wszystkie sąsiadki, by po stosunkowo krótkim okresie bardzo silnego świecenia — tracić swój blask, a wreszcie zamienić się na gigantyczne radio-gwiazdy, których optycznie nie można dostrzec — lecz które wykrywa się radio-teleskopami. Ciemne te mgławice, a właściwie cmentarzyska reakcji jądrowych, „nadają” niezwykle intensywne fale radiowe, docierające do Ziemi poprzez odległość wielu setek i tysięcy lat świetlnych.

Warto dodać, że gwiazdę super-nową obserwowali już w starożytności astronomowie chińscy; opisywali jej położenie tak dokładnie, że poszukiwania współczesnych astronomów w tej części nieba — dały wynik pozytywny: właśnie tam znaleziono potężną radio-gwiazdę!

ZASTANAWIAJĄCA REGULARNOŚĆ

Fizycy nie wiedzą, jaki proces jest przyczyną wyzwolenia gigantycznych ilości energii w chwilach narodzin gwiazdy „super-nowej”. W każdym razie astronomowie stwierdzili na podstawie studiów historycznych, że co paręset lat jedna z gwiazd obserwowanych z Ziemi popełnia super-nowe samobójstwo. Wynikałoby z tego, że reakcja ta występuje w sposób naturalny w określonych warunkach, co pewien czas. Żaden jednak uczonej współczesny, ubrojeni w nowoczesną aparaturę, wybuchu na Mlecznej Drodze nie obserwowali. To właśnie skłoniło amerykańskiego astronoma Otto Struvego (z pochodzenia Rosjanina) do zupełnie oryginalnej hipotezy.

SZANSE ZNIKOME

Jak już niektóre dzienniki polskie podawały, opublikował on w amerykańskim miesięczniku „Ti-

me” swoje rozważania na temat prawdopodobieństwa istnienia życia oraz istot myślących poza Ziemią. Droga Mleczna składa się z około 100 miliardów gwiazd, a w tym 10 miliardów gwiazd, które, podobnie jak słońce, powinny posiadać swoje planety. Przyjmując przeciętną (po 5 planet na każdą gwiazdę) można przypuszczać, że na Drodze Mlecznej istnieje 50 miliardów planet. Przyjmując dalej z pewną ostrożnością, że na co pięćdziesiątej planecie mogą istnieć warunki odpowiednie dla powstania życia organicznego — uczonej doszedł do wniosku, że takich planet z organicznym życiem powinno być około miliarda. Jest bardzo możliwe, że niektóre z nich zamieszkują istoty rozumne.

I teraz Otto Struve stawia „śmiałą” koncepcję powstawania gwiazd super-nowych: „Kto wie — powiada — czy taka gwałtowna eksplozja nie jest wywołana przez istoty rozumne, które nieostrożnie obchodzą się z reakcjami termojądrowymi?, albo celowo wywołują te potworne eksplozje w kosmosie?”

CO TRUDNO SOBIE WYOBRAZIĆ

Pozostałoby tylko Struvementu wyjaśnić, dlaczego tamtejsze istoty — skoro są tak wysoko rozwinięte, że potrafią wywoływać gigantyczny kataklizm, którego skutki muszą być widoczne w całym kosmosie — nie złożyły wizyty zapoznawczej na Ziemi? Odpowiedź na to byłaby prosta. Po pierwsze czas życia ludzkości jest w pojęciach astronomicznych bardzo krótki, a odległości od Drogi Mlecznej zbyt wielkie. Szansa trafienia przybyszów z systemów gwiazdowych tak odległych na Ziemię akurat w okresie, gdy my, ludzie znający już reakcje termojądrowe (od kilkunastu lat dopiero!) żyjemy, jest bardzo mała. Co nie wyklucza, że kiedyś nasza planeta i systemem słonecznym w ogóle „ktoś” się już nie zainteresował.

Na razie jednak możemy spać spokojnie. Możliwość odwiedzin istot pozaziemskich jest wielokrotnie mniejsza, niż główna wygrana w Toto-Lotka. Chyba... chyba, że znajdziemy sposoby na wysyłanie o sobie w wszechświat audycji radiowych lub zgłoś... telewizyjnych. Tylko, tylko... czy tamci „ludzie” z Drogi Mlecznej mają telewizory o tej samej ilości kanałów co np. w Polsce? Może zresztą nie wszyscy mają oczy i uszy albo ogólnie mówiąc „zmysły słuchu i wzroku”.

NIE ZMIENIMY NASZEJ NATURY

Lepiej pozostawmy w obrębie naszego systemu słonecznego i zainteresowania zwrócićmy do bliższych sąsiadów — Marsa, Wenus, a przede wszystkim Księżyc. Istot myślących prawdopodobnie tam nie znajdziemy, lecz ślady życia na Marsie i Wenus — najprawdopodobniej tak. Życie na obcych systemach gwiazdowych musi pozostać dla mieszkańców naszej planety tajemnicą. Aby ją odkryć, musieliśmy bowiem zmienić naszą naturę, a tego nie potrafia nawet najbystrzej fizycy atomowi, biologowie i lekarze. Jaki bowiem lekarz będzie mógł, przy stanie naszej wiedzy, ofiarować nam tysiące czy nawet miliony lat życia? Który z fizyków atomowych potrafi zbudować rakietę o szybkości światła — by żywy człowiek mógł bez katastrofy dotrzeć do nieznanych regionów wszechświata? Przecież na niektóre gwiazdy Drogi Mlecznej podróżowałoby się z szybkością światła (na Księżyc przy tym tempie rakietą leciałoby niewiele ponad sekundę) wiele tysięcy lat!

Trzeba więc zostawić te problemy autorom powieści, filmów i audycji fantastycznych. Tego typu podróże pozostają w sferach poetyckich marzeń... (J)



Fot. — CAF

13 lat temu Korpus Polski stoczył swą ostatnią bitwę we Włoszech, która doprowadziła do zajęcia Bolonii i otworzyła Aliantom drogę na dolinę Padu. Pod koniec kwietnia 1945 r. oddziały polskie po uporczywych, 12-dniowych walkach, wkroczyły do tego historycznego miasta witane owacyjnie przez ludność. Siedem rzek, siedem umocnionych linii obrony niemieckiej, stało na drodze żołnierza polskiego.



Z Wolsztyna do... Japonii

W Japonii wychodzi miesięcznik „La Kaleso” („Pojazd”). Wydało go Stowarzyszenie Pisarzy i Historyków Literatury Dziecięcej. Nie dawno w miesięczniku tym ukazał się artykuł o polskiej literaturze dziecięcej Wiktora Hajduka, nauczyciela języka polskiego w wolsztyńskim liceum. P. Hajduk jest członkiem Światowej Organizacji Esperantystów w Rotterdamie.

— Właśnie przynależność do tej organizacji pozwoliła mi na zamieszczenie artykułu w „La Kaleso”. Po prostu napisałem po esperancu rozprawkę traktującą o sytuacji literatury dziecięcej w Polsce, a że pismo zajmuje się tymi sprawami, więc artykuł wydrukowano.

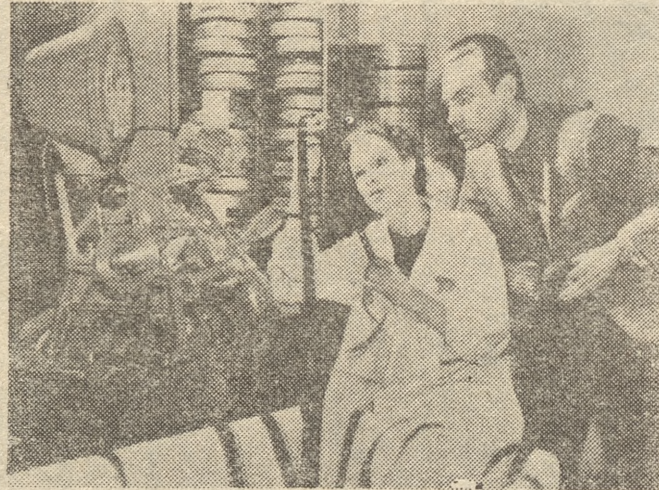
Korespondencję w języku esperanto prowadzi również m. in. P. Yasuko, asystentem Uniwersytetu w Tokio, z nauczycielami w Czechosłowacji, Jugosławii, Związku Radzieckim i Brazylii — opowiadał p. Hajduk.

Wbrew powszechnej opinii — warto być esperantystą. Dzięki językowi międzynarodowemu czytają w Japonii artykuły naszego ziomka. (kh)

Jezyk międzynarodowy esperanto powstał w roku 1887. Twórcą jego był okulista warszawski, Polak, dr Ludwik Zamenhof.

W 1959 roku odbędzie się w Warszawie Kongres Esperantystów z udziałem ok. 3.000 delegatów z całego świata. W roku tym przypada 100-na rocznica urodzin dra Zamenhafa.

Jak twierdzą esperantysty, język ich może wyuczyć się każdy przeciętny człowiek w ciągu miesiąca.



Studenti wyższych lat pracują samodzielnie przy produkcji filmów — Reżyser Dzema Firsowa i operator Henryk Nawrocki w czasie montażu filmu.



Proszę się nam dobrze przyjrzeć — może za kilka lat ujrzymy nas na ekranie... Fot. CAF

N O W E GWIAZDY

Zapraszamy dziś Czytelników do odwiedzenia z nami Moskiewskiego Instytutu Filmowego. Kształcą się tam ponad 800 przyszłych scenarzystów, reżyserów, operatorów i aktorów. Nauka trwa od 4,5 do 6 lat. Doskonale wyposażone laboratoria, sale widowiskowe i gabinety naukowe dają studentom możliwość poznania nowoczesnych metod pracy w dziedzinie sztuki filmowej. Wykładowcami są czołowi filmowcy radzieccy. Młodzi ludzie którzy mają trochę szczęścia i nieco więcej talentu mogą tu zaspokoić swoje ambicje i marzenia, jakich — ktoś z nas kiedyś nie miał?

Przedstawiamy parę studentów wydziału aktorskiego (zdjęcie z prawej): Swietlanę Drużyninę i Pawła Arsenowa. Powtarzają, właśnie lekcję zadaną przez reżysera.

W nowym filmie radzieckim „Dziewczyna z gitarą” główną rolę powierzono studentce Instytutu — Ludmile Gurczenko. Oto ona (zdjęcie z lewej) — jako ekspedientka sklepu muzycznego.



Na zdrowie! Rozwiązanie krzyżówki

Jak smakują aperitify? Ba, żeby to wiedzieć! Ongiś kawiarnia i winiarnia „Ratuszowa” na Starym Rynku raczyła swoich bywalców tego rodzaju firmowym napojem, wkrótce jednak poniechała i ona swej pionierskiej działalności. Czyżby z braku amatorów? Nie sądzimy. Nasz przemysł przetwórczy od dłuższego już czasu zapowiada bogate zaopatrzenie rynku w lekko alkoholizowane napoje orzeźwiające, i różne inne cuda o pochodzeniu warzywno-owocowym. Jak dotąd jednak tylko nielicznym szczęśliwcom udało się poznać smak owych napojów. Ponoć w którymś z poznańskich lokali można dostać aperitif w cenie ponad 30 zł za tzw. „ćwiartkę”, o zawartości około 17 proc. alkoholu. Nie próbowaliśmy, nie wiemy jak smakuje, obawiamy się jednak, że jest to napój nieco za... słony na to, by zdobył popularność.

Wiadomo, że nasze krajowe wina, choć bardzo tanie nie grzeszą zbytnią szlachetnością. Tym niecierpliwiej czekamy zatem na płynne przetwory owocowe, które by pozwoliły przeprowadzić próby „bezwyskokowych” przyjęć.

Jako zwolennicy aperitifów (zawsze lepsze niż wódka!) przedzamy niniejszym nasz oploty przemysł, dzieląc się z czytelnikami podpatrzonymi receptami napojów alkoholowych:

● płynny owoc jabłkowy — 200 g, cherry brandy 100 g, woda sodowa — 100 g. Zawartość alkoholu — 9,5 proc.;

● płynny owoc jabłkowy — 300 g, curacao — 150 g. Zawartość alkoholu — 13,3 proc.;

● sok jeżynowy — 160 g, sok cytrynowy — 160 g, curacao — 260 g, woda sodowa — 340 g, ratafia 40 g, wódka czysta — 60 g. Zawartość alkoholu — 13,6 proc.

● sok cytrynowy — 25 g, ratafia — 100 g, woda sodowa — 300 g. Zawartość alkoholu — 8,2 proc.

● wino wytrawne 600 g, woda sodowa 250 g, ratafia 150 g. Zawartość alkoholu 14,3 proc.

(kaj)



KŁECKO, jak Kleczew, od klety leplanki. Akurat mija 100 lat od wydania pierwszej monografii pt. „Wiadomości historyczne o mieście Klecku” przez Ks. Józefa Dydyńskiego.

Klecko Stare leżało nad jeziorem Małym, za obecnymi ogrodami miejskimi. W r. 1824 wykopano tu dużo monet z XI i XII wieku a w r. 1833 na pewnej głębokości znaleziono bruk i różne przedmioty.

Przywilej lokacyjny miasto otrzymało w roku 1255 od Bolesława Pobożnego. Pod Kleckiem został pobity Biberstein — którego nasiął pretendujący do księstwa poznańskiego książę głogowski Henryk wypędzony poprzednio przez wielkopolskich panów.

W r. 1331 Krzyżacy spalili miasto, a ludność wycieli w pień. Przed papieską komisją zeznawał o tym kleczanin — Mikołaj Skopek. Gdy pobożni „reubritterzy” zbliżali się do miasta, skrył się w łodzi w sadzawce. Widział jak wojsko lupiło miasto, podpałało i zalogę zamku mordowało.

W r. 1521, przypuszczalnie po spaleniu, miasto przeniosło się na obecne miejsce, ale i to nie przyniosło mu szczęścia. W roku 1556 przeszło jeszcze jedną rzeź, którą tym razem urządzili Szwedzi.

KŁODAWA — wiadomo, od kłód. Jeszcze na początku XIX wieku podskakiwały tu wozy na kłodach, którymi były „brukowane” ulice.

W roku 1453 Kłodawa dostarczała Jagiellończykowi aż 20 pieczych na wojnę, czyli że wówczas równała się Gnieźnie, Srodzie i Inowrocławowi.

Do roku 1435 burmistrza dla Kłodawy mianował starosta. Potem Zygmunt I zarządził żeby burmistrzowie zmieniali się co kwartał.

J. P.

TAK TO DRZEWIEJ BYĆ MOGŁO

„Sie und Er”

— Proszę na trzecie piętro.

Śladem konika szachowego

Stara legenda powiada, że do szacha perskiego przyszedł pewien mędrzec i ofiarował mu szachownię, figurki i naukę gry. Zadowolony władca obiecał sownie obdarować ofiarodawcę. Ten oświadczył, że nie jest wcale tak wymagający. Wystarczy mu, by na pierwszym polu szachownicy Jego Sułtańska Moc położył dwa ziarna pszenicy, na następnym cztery i tak dalej. Gdy rachmistrze jeli obliczać honorarium mędrca — okazało się, że spichrze wschodniego władcy nie wystarczyłyby dla zapłacenia sprytnemu mędrce. Zresztą, według najnowszych badań, bajkowy mędrzec byłby nie tylko dzielnym matematykiem — lecz także... oszustem!

Otóż grupa naukowców z mediolańskiego instytutu politechnicznego zabrała się niedawno do badania — przy użyciu elektronicznych aparatów — grobów etruskich. Etruskowie, to tajemniczy lud, o którego dziejach wiemy jeszcze bardzo niewiele. Zamieszkiwał on Półwysep Apeniński, a raczej jego część środkową i północną — na wiele, wiele setek lat przed Rzymianami. Zbada-

nie tej kultury i dowiedzenie się czegoś bliższego o historii Etrusków — prawdopodobnie zmienił zapatrywania naukowców na początki historii Rzymu.

W tej chwili wspomniana grupa naukowców mediolańskich przy użyciu aparatów elektronicznych wykryła znajdujące się pod ziemią puste miejsca. Następnie wierceń ostrożnie niewielki otwór, przez który zostaje spuszczone mały aparat fotograficzny uzbrojony w silną lampę błyskową. Po wywołaniu zdjęcia widać wyraźnie, czy ma się do czynienia ze zwykłą jamą — czy też z zabytkowym grobem, który warto odkopać i gruntownie zbadać. W ten sposób odkryto ostatnio 500 nowych grobów etruskich co da naukowcom moc materiału do oświetlenia historii tajemniczych poprzedników Rzymian.

W jednym z ostatnich odkrytych grobów znaleziono świetnie zachowane malowidła ściennie. Najprawdopodobniej było to miejsce wiecznego spoczynku bogatego Etruska, który chętnie w wolnych chwilach zajmował się grą w szachy, co udokumentowano na

ścianie grobu. To właśnie jest rewelacyjnym odkryciem dla archeologów i historyków oby czajów. Przypuszczano bowiem dotąd, że gra w szachy trafiła do Europy dopiero w średniowieczu, opracowana przez indyjskich lub arabskich matematyków. Tymczasem okazuje się, że już co najmniej 2.500 lat temu szachy były znane na Półwyspie Apenińskim. Wynikałoby z tego, że gra w szachy trafiła do Europy, być może, niekoniecznie nie poprzez Arabów.

A zatem, bajkowy mędrzec, proszący o wypłatę honorarium ziarnkami pszenicy, po prostu sprzedawał cudzą pomysł. Do wyjaśnienia pozostaje jednak jeszcze to, czy zapożyczył ów pomysł z Indii czy też z Europy. Na nieszczęście dla nauki wspomniany grób bogatego Etruska był już przez kogoś okradziony wiele wieków temu, bowiem oprócz malowideł ściennych niczego więcej nie znaleziono. Gdyby bowiem zachowana została szachownica i figurki, można byłoby coś więcej powiedzieć o wpływach i pochodzeniu tej pasjonującej dzisiaj wiele tysięcy ludzi — grze w szachy. (!)



Zle pana połączono! U nas jeszcze nie wynaleziono telefonu.



— Proszę na trzecie piętro.



Kobieta porwana przez goryla! Oczywiście — na niby. Rzecz bowiem dzieje się na lotnisku, chwilę po wylądowaniu samolotu, wiozącego goryla do amerykańskiej wytwórni filmowej, gdzie wystąpi w głównej roli w scenach d la Frankenstein. Fot. — CAF

Zagadka

Ulicą szły żuczki: tata-żuczek, mama-żuczek i synek-żuczek. W pewnej chwili tuż obok żuczków przejechał duży samochód. — Ojej — zawołał mama-żuczek — byłyby cztery trupy?

Dlaczego mały wolał o czterech trupach, skoro ulicą szli tylko: tata-żuczek, mama-żuczek i synek-żuczek? — Ojej — zawołał mama-żuczek — byłyby cztery trupy?